

Europa, czyli chory człowiek planety Ziemia

20 marca 2025

Publikujemy wywiad z Alainem de Benoist, udzielony przez tego francuskiego myśliciela portalowi „Breizh Info” z Bretanii. De Benoist wciąż pozostaje kluczowym myślicielem i teoretykiem Europejskiej Nowej Prawicy, która jednak w obecnych warunkach geopolitycznego akcelerationizmu musi na nowo zdefiniować swoje dotychczasowe zapatrywania na Europę.



– Jak odbiera Pan ewolucję stosunków międzynarodowych po niedawnych deklaracjach Trumpa i Vance’a w sprawie Ukrainy i ich wpływ na relacje między Unią Europejską a Stanami Zjednoczonymi?

– Do tej pory przeżyłem tylko jedno wydarzenie historyczne w moim życiu: upadek muru berlińskiego i implozję systemu radzieckiego. Wydaje mi się, że teraz jestem świadkiem drugiego. „Obserwatorzy”, jak zwykle, nie potrafili go dostrzec. Historia gwałtownie przyspiesza, aż do poziomu, w którym codzienne wiadomości wskazują na pojawienie się dystopii. Już sam wybór Trumpa stanowił duży historyczny przełom. Innym przełomem było wznowienie kontaktów między

Białym Domem a Kremlu 12 lutego. Dwa dni później w Monachium wiceprezydent J. D. Vance wypowiedział prawdziwą wojnę ideologiczną Europie przytłoczonej przez imigrację i cierpiącej na zbiorową amnezję, nie kryjąc, że uznaje ją za antymodel oparty na dekadencji i cywilizacyjnym samobójstwie. Następnie mieliśmy oświadczenie, że Ukraina nigdy nie dołączy do NATO i nigdy nie odzyska terytoriów, które utraciła na Donbasie czy Krymie. 3 marca Donald Trump ogłosił wstrzymanie wszelkiej pomocy dla Ukrainy. Wreszcie obserwujemy na żywo dezintegrację sojuszu atlantyckiego. Także, nawet jeśli brakuje nam jeszcze odpowiedniej perspektywy, to jest to moment historyczny.

– O czym mówi nam halucynacyjna sprzeczka między Donaldem Trumpem a Wołodymyrem Zełenskim, do której doszło 28 lutego w Gabinetach Ovalnym Białego Domu?

– Koncentrowanie się na podniesionych głosach jest niczym koncentrowanie się na palcu wskazującym na Księżyc. Znaczenie ma to, co zostało powiedziane. W obliczu odmowy przez Zełenskigo zakończenia wojny nie do wygrania i jego żądań „gwarancji bezpieczeństwa”, których przyznania odmawiają Amerykanie, Trump przypomniał, że Zełenski nie ma prawa dyktować warunków, bo nie dysponuje odpowiednimi kartami czy zasobami negocjacyjnymi do użycia. Powiedział mu zatem również, że jeśli nie zaakceptuje on oferty, którą otrzymał, zmuszony będzie do podpisania porozumienia jeszcze bardziej dla jego kraju niekorzystnego, a być może stanie przed obliczem całkowitej kapitulacji. Zauważmy przede wszystkim, że nie ma nic nadzwyczajnego w tym, że los Ukrainy ustalany jest przez Rosję i Stany Zjednoczone, bo to Rosja i NATO były realnymi stronami tej wojny. Wojna na Ukrainie była od samego początku wojną zastępczą. Jednocześnie jednak musimy rozumieć, że przegrała ją nie tylko Ukraina. Emmanuel Todd słusznie przewidywał, że „zadaniem Trumpa będzie zarządzanie porażką Ameryki z Rosjanami”. Tak naprawdę właśnie o to chodzi. Zaczynamy zatem postrzegać tę straszną, bratobójczą wojnę

trwającą już od trzech lat w innym świetle. Wojna ta jest dla mnie osobiście trudna do wytrzymania, bo mam przyjaciół, zarówno ukraińskich, jak i rosyjskich, i odczuwam wielki smutek, gdy widzę jak się nawzajem masakrują. Wszyscy poważni eksperci zdają sobie sprawę, że główną przyczyną tej wojny było dążenie Amerykanów do rozlokowania jednostek NATO w pobliżu granic Rosji. Putin zareagował tak, jak zareagowałby każdy amerykański prezydent, gdyby stanął przed obliczem zagrożenia ze strony rosyjskich rakiet umieszczonych niedaleko granicy w Meksyku czy Kanadzie. Dlatego wojna ta zaczęła się długo przed 2022 rokiem. I można było jej uniknąć. Przykładowo, problemy wewnętrzne Ukrainy mogły zostać doskonale rozwiązane przez wprowadzenie systemu federalnego, w którym jej rosyjskojęzyczna część cieszyłaby się pewną autonomią. Stało się jednak odwrotnie. Montesquieu wyróżniał tych, którzy zaczynają wojny, i tych, którzy sprawiają, że nie sposób ich uniknąć. To niekoniecznie ci sami ludzie. François Fillon stwierdził niedawno: „zawsze mówiłem, że tej wojny można było uniknąć, gdyby przywódcy zachodni podjęli próbę zrozumienia jej przyczyn, zamiast przywdziewania szat strony dobra”. Można to przetłumaczyć następująco: jeżeli analizowaliby sytuację w kategoriach politycznych, a nie etycznych. W rzeczywistości nic nie zmuszało Europejczyków do popierania konkretnej strony, czy to ukraińskiej, czy to rosyjskiej, ani do reagowania w jednolity sposób (jako „zbiorowy Zachód”). Mogli przynajmniej wypracować swoje stanowisko w oparciu o własne interesy. Z przyczyn ideologicznych woleli jednak postrzegać ten konflikt jako „wojnę sprawiedliwą”, w której przeciwnika trzeba kryminalizować i uznawać winnym. Stojąc od początku po jednej stronie, znaleźli się w sytuacji, w której nie mogli już proponować mediacji, tracąc możliwość występowania w roli „siły równoważącej”. Trump to wielki realista. Po trzech latach cotygodniowego powtarzania nam w telewizji tezy o nieuchronności upadku Rosji, oznajmił, że to Ukraina przegrała tę wojnę, pomimo sprzętu wojskowego i setek miliardów, które otrzymała; a także, iż Europejczycy w ciągu tych trzech lat

niezdolni byli do określenia celów tej wojny. Tymczasem wojna jest przecież środkiem mającym służyć pewnym celom. Jak pisał Clausewitz, „jej celem jest kwestia polityczna, a wojna jest środkiem; trudno wyobrazić sobie środek bez celu”. Europejczycy nie zdają sobie już sprawy czym właściwie jest wojna: aktem przemocy, którego celem jest pokój. W tej kwestii nigdy nie mieli oni żadnego celu politycznego, dyplomatycznego, strategicznego, woląc naciskać na Zełenskiego, by pogrążał się on w pułapce, w którą sam wpadł. Wbrew temu, co niektórzy mówią, Trump nie jest izolacjonistą, ani „obrońcą pokoju”. Przeciwnie – podobnie jak wielu jego poprzedników wierzy on, że obrona interesów amerykańskich wymaga nieustannego interwencjonizmu. Zasadnicza różnica polega na tym, że nie kryje on tego interwencjonizmu za subtelными ideałami, takimi jak obrona liberalnej demokracji i rządów prawa („demokracji i wolności”), a zamiast angażować się w działania wojenne, chce postawić na handel. Jest podżegaczem wojennym, lecz podżega do wojen handlowych. Wystarczy popatrzeć w jaki sposób mówi o Grenlandii, Kanadzie czy Kanale Panamskim, przyjmując styl imperialistyczny, bazujący na starym amerykańskim micie „granicy”. Dla niego wszystko jest transakcją, wszystko można kupić lub sprzedać, wszystko jest do negocjacji, wszystko opiera się na współczynnikach wartości handlowej, wolnych od wyrzutów sumienia. Doskonale zdaje sobie sprawę, że „pokojuowy handel” wcale nie wyklucza agresji, szantażu czy podbojów. Jego „pacyfizm” opiera się na prostej konstatacji, że konflikt zbrojny przynosi więcej strat niż zysków, a Stany Zjednoczone są lepiej przygotowane do wygrywania wojen handlowych niż starć na polu walki. Swoje dążenie do władzy próbuje realizować raz za pomocą gróźb wprowadzenia ceł, a innym razem za pomocą wspierania deregulacji i wolnego handlu, gdy tylko mu to odpowiada.

– Według mediów, Trump mówi dziś tym samym głosem, co Władimir Putin. Mówi się o nowym kondominium amerykańsko-rosyjskim, a nawet o trójkącie Waszyngton-Moskwa-Pekin. Czy uważa Pan to za

realne?

– To dym i lustra. Oni za mocno się różnią: Putin to szachista, Donald Trump ogranicza się do golfa i gry w Monopol. Przede wszystkim jednak mają sprzeczne interesy geopolityczne. Choć z drugiej strony prawdą jest, że Trump chce zacząć od nowa stosunki z Moskwą, gdyż uważa, że normalizacja relacji z Rosją Putina wiąże się dla Ameryki z korzyściami większymi niż sojusz atlantycki. Może to poskutkować zniesieniem sankcji nałożonych na Rosję, wspólnymi projektami energetycznymi, szczególnie w regionie Arktyki, a nawet opracowaniem planu pozwalającego na uniknięcie wojny z Iranem. Być może Trump ma również nadzieję na osłabienie siły nie tyle sojuszu (termin „sojusz” nie istnieje w języku chińskim), lecz więzi „nieograniczonej przyjaźni” między Putinem i Xi Jinpingiem, ogłoszonej w lutym 2022 roku. Nie będzie on natomiast próbował zdominować Rosji „zachodnim hegemonizmem”. Nie wierzę również w amerykańsko-chińsko-rosyjski “nieliberalny triumwirat”, bo takie porozumienie byłoby najeżone sprzecznościami wewnętrznymi. Trump to z pewnością wielka osobowość posiadająca skłonności paranoidalne (co nie jest w polityce niczym niezwykłym). Nie obchodzą go idee, moralność czy prawo międzynarodowe (podobnie jak choćby Netanjahu). Lubi zwycięzców, woli charyzmę od legalizmu. Podziwia siłę i uważa, że wszystko można załatwić brutalnymi groźbami. Wraz z jego prezydenturą relacje siły zastępują prawo, co przynajmniej czyni całą sytuację bardziej klarowną. Trumpa i Putina łączy postrzeganie przez nich Europy jako starej i zmęczonej, niezdolnej do politycznych rozwiązań problemów międzynarodowych, niezdolnej do stanowczości, starej i podzielonej, zrujnowanej, zdominowanej, niepamiętającej o własnej przeszłości i tradycjach, bijącej się w piersi i jednocześnie praktykującej nieustanną cenzurę etyczną, generalnie nie będącej w stanie poradzić sobie w sytuacjach wyjątkowych. Z tego punktu widzenia reszta świata składa się z partnerów, którzy nigdy nie byli kimś równym, lecz pełnili rolę wasali, protegowanych, byli podmiotami zdominowanymi, a

nie sojusznikami. Nie oznacza to, że Stany Zjednoczone rozmawiać mogą z pozycji siły z Chinami, decydować o układzie wielobiegunowym czy odpierać groźby dedolaryzacji. Nie zapominajmy, że skoro Trump chce uczynić Amerykę „znów wielką”, to znaczy przede wszystkim, że obecnie „wielka” ona nie jest.

– Co Pan sądzi o gorączkowych działaniach Europejczyków z Emmanuelem Macronem na czele na rzecz militaryzacji Europy?

– Europejczycy są niereformowalni. Nie dostrzegają nadchodzącej fali populistycznej, stawiali na wyborcze zwycięstwo Kamali Harris, przez dziesięciolecia polegali na „parasolu” amerykańskim, zamiast wziąć na siebie odpowiedzialność. Dopiero teraz zaczynają zdawać sobie sprawę, że Amerykanie porzucają Ukraińców, tak jak wcześniej porzucili Wietnamczyków z Południa czy Afgańczyków. Jest taka powszechnie znana maksyma: bycie wrogiem Ameryki jest niebezpieczne, ale bycie jej przyjacielem jest śmiertelne. Nie dostrzegali tropizmu, który przez lata oddalał Stany Zjednoczone od Europy. Dopiero teraz widzą, że Amerykanie oszczędzając siły na konfrontację z Chinami, przestają się angażować w sprawy bezpieczeństwa europejskiego, pozostawiając ich bezbronnymi. Nie rozumieją co się z nimi dzieje. Nie są w stanie uwierzyć w zwiększającą się szerokość zatoki dzielącej obie strony Atlantyku. Są sparaliżowani niczym królik oślepiiony światłami drogowymi, rozpaczają nad rozpadem NATO, organizacji o której jeszcze w 2019 roku Macron mówił, że znajduje się w stanie „śmierci mózgowej”. Nie potrafią jednak wyciągnąć z tego lekcji. Mogli skorzystać z sytuacji i przemyśleć ile kosztowała ich wojna na Ukrainie. Stracili na nią 150 mld euro, stracili dostęp do rosyjskiego gazu i ropy naftowej, stracili setki miliardów inwestycji w Rosji, milcząco zaakceptowali sabotaż na Gazociągu Północnym, a z drugiej strony wciąż wydaje im się, że mają prawo dawać Ukrainie gwarancje bezpieczeństwa i przedłużać trwającą tam rzeź. Innymi słowy, jedyna ich reakcja polega na wrzucaniu

kolejnych monet do tego automatu do gier. Po pół wieku powtarzania nam hasła, że „Europa oznacza pokój”, dziś chcą kontynuowania wojny, ryzykując uznanie za jej bezpośrednich uczestników. Nigdy nie uczą się na własnych błędach i gotowi są wcisnąć palec między tryby, nie wiedząc czym to wszystko się dla nas skończy. Nawet ekołodzy głoszą militarizm. Zanurzyli się z głową w totalnie delirycznym podżeganiu do eskalacji, które dowodzi, że Europejczycy wciąż nic nie rozumieją z Nowego Ładu Światowego, nowego Nomosu Ziemi, który kształtuje się na ich oczach. Znaleźli się na pokładzie pijanego statku, a teraz chcą przybić do brzegów martwej komety. Ci sami ludzie, którzy na przestrzeni trzydziestu lat niszczyli potencjał przemysłowy i obronny krajów europejskich, dziś proponują przejście do europejskiej „gospodarki wojennej” i „militaryzację” firmowaną przez agentkę wpływu Ursulę von der Leyen („Hienę”). O stanięciu na czele partii wojny (głoszącej brzmiące znajomo hasło „jesteśmy na wojnie, bez względu na koszty”) marzy Macron, prezydent kraju coraz bardziej izolowanego na scenie międzynarodowej, sparaliżowanego politycznie i zadłużonego do poziomu, w którym spłata odsetek (ponad 50 mld euro rocznie) stanowi drugą największą pozycję w wydatkach publicznych. Francuska armia, której składy broni są prawie puste i której budżet został ogołocony do kości, nie jest zdolna do udziału w konflikcie o wysokiej intensywności przez czas dłuższy niż osiem dni, ale i tak słyszymy zapewnienia, że wszystkim pokażemy na co nas stać. Jakże cudownie wygląda wojna, jeśli samemu się nigdy nie walczyło! Macron, który w czerwcu 2022 roku radził swoim partnerom, by nie „poniżali Rosji”, dziś robi coś dokładnie odwrotnego. Nie jest w stanie spojrzeć w oczy prezydentowi Algierii i skonfrontować się z prezydentem Komorów, lecz napina muskuły i zapewnia, że gotów jest do stawienia czoła „zagrożeniu rosyjskiemu”, które jego zdaniem nadciąga do Francji i Europy Zachodniej. To zagrożenie jest niczym więcej niż groteskową fantazją, której jedynym celem jest wywoływanie strachu. Tym zagrożeniem wymachuje się niczym strachem na wróble. Miałoby tu sens znakomite gruzińskie przysłowie: owce

przez całe życie boją się wilka, ale na końcu zjada je ich pasterz! Dla Europejczyków wojna nie jest już konfrontacją dwóch przeciwników w tradycyjnym rozumieniu, lecz walką „agresora” z „ofiara agresji”. Ten pierwszy jest winny, nawet jeśli działa w sytuacji uprawnionej obrony koniecznej. Ta zmiana słownictwa stanowi potwierdzenie powrotu koncepcji „wojny sprawiedliwej”. Redukowanie wojny do dychotomii „agresor” – „ofiara” (jak w ataku nożownika czy napastowaniu seksualnym) pogrąża nas w czystym moralizatorstwie. Wracamy do starych dobrych czasów Ligi Narodów, której historię dobrze znamy, a może nawet bardziej do Paktu Brianda-Kellogga z 1928 roku, czyli czasów, w których irenizm polegał na założeniu, że prowadzenia wojen można zabronić. Obecnie wprowadzie ton jest zdecydowanie bardziej wojowniczy. Jest to jednak podejście podobnie niepolityczne. Na pewno nie byłoby niczym złym, jeśli niektóre kraje europejskie zbudowałyby u siebie potężny przemysł obronny, ale pod warunkiem, że byłby on niezależny, czyli pod warunkiem, że nie będziemy zwracać uwagi na Stany Zjednoczone. Z pewnością w żadnym wypadku nie uratuje to Zełenskiego: jeśli Ukraina nie będzie już otrzymywała pomocy amerykańskiej, same skromne środki, którymi dysponuje Unia Europejska nie sprawią, że nagle zacznie zwyciężać. Istnieje ponadto zbyt wiele sprzeczności pomiędzy państwami członkowskimi, by możliwe było określenie ich wspólnych interesów czy celów, a – co za tym idzie – wspólnej polityki na poziomie operacyjnym. Nie ma miejsca dla armii europejskiej, dopóki Europa nie będzie politycznie zjednoczona, czyli możemy uznać, że na dziś to jedynie jakaś chimera. Jeśli zaś chodzi o „europejski parasol”, który miałby powstać w wyniku decyzji Francji o rozszerzeniu odstraszania na obszar jej sąsiadów, to byłby on jeszcze mniej wiarygodny od „parasola amerykańskiego”. Jak podsumował Jacques Sapir, nikt chyba nie sądzi, że Francja zgodziłaby się na „zrównanie z ziemią Paryża w obronie Bukaresztu, Pragi czy Warszawy”. Krótko mówiąc, w najbliższej przyszłości wciąż będziemy pogrążeni w dyskusji na temat środków militarnych i finansowych, którymi nie dysponujemy, wciąż będziemy dreptać w

miejscu.

– Wschodząca gwiazda trumpizmu, J. D. Vance, wydaje się uosabiać nową amerykańską prawicę, która jest antyliberalna i konserwatywna, a jednocześnie całkowicie nieskrępowana przez lewactwo. Czy sądzi Pan, że jego postać symbolizuje trwałą reorientację konserwatyzmu amerykańskiego?

– Trumpizm to nieprawdopodobna mieszanka plutokratycznego populizmu, technologicznego cezaryzmu, anarcho-kapitalizmu, antypaństwowego suwerenizmu i ideologii libertariańskiej. Donald Trump wraz z Elonem Muskiem tworzy cezarystyczny duumwirat, który nasuwa ewidentne skojarzenia ze schyłkowym okresem Republiki Rzymskiej. J. D. Vance ma ciekawe cechy, lecz trudno rozpoznać dokładnie kim jest w tej konstelacji, w której mamy do tego amerykańskie mity: Manifest Przeznaczenia i nową Ziemię Obiecaną, analizowanie społeczeństwa przez pryzmat jednostki, samowystarczalność rynku, prymat ekonomii i handlu, przywiązanie do technologii oraz mesjanistyczny optymizm. Poza wszystkim, nie powinniśmy zapominać, że Donald chce przywrócenia nie wielkości Europy, lecz wielkości Ameryki, która jest zagrożona, z czego zdaje on sobie sprawę.

– Jak postrzega Pan głęboki, niemożliwy do zasypania podział pomiędzy konserwatywną Ameryką anti-woke i Ameryką progresywną czy lewicową? Czy na podobną ścieżkę nie wkraczają kraje i narody europejskie?

– Niewykluczone, że Stany Zjednoczone znajdują się na progu wojny domowej czy nowej wojny secesyjnej. Nie sądzę jednak, by mogło to dotyczyć Europejczyków. Największym zagrożeniem dla Europy nie jest wojna domowa. Jest to coś gorszego: chaos.

– Unia Europejska (a właściwie jej przywódcy) bierze udział w walkach ideologicznych, gdy tymczasem reszta świata staje się coraz bardziej pragmatyczna i brutalna. Czy można to traktować jako przejaw dekadencji lub desperackiej próby zachowania moralnej dominacji nad narodami?

– Ani jedno, ani drugie – szczególnie, że dominacja etyczna nie może iść w parze z dekadencją! Unia Europejska nie prowadzi też „bitew ideologicznych”; zamyka się raczej w ramach bardzo szczególnej ideologii, której trzema głównymi filarami są społeczeństwo składające się z jednostek, liberalny kapitalizm i prawa człowieka. Na jej podstawie odwołuje się do liberalnej demokracji, rządów prawa oraz panowania wartości rynkowych.

– Jaka będzie rola Europy w Nowym Ładzie Światowym, który kształtuje się na naszych oczach? Jakie strategie powinna ona zastosować, by zachować swe wpływy?

– Rozmowa o strategiach nie ma sensu, jeśli nikt nie ma o nich żadnego pojęcia ani nie zamierza ich realizować. Europejczycy to dziś chorzy ludzie tej planety. Nie mają najmniejszego pojęcia jakie mogłoby być przeznaczenie Europy, bo słowo „przeznaczenie” jest dla nich bez znaczenia. To ludzie kierujący się ektoplazmami, lunatycy, którzy nigdy nie prowadzili żadnej wojny, a teraz ogłaszają, że gotowi są na wciągnięcie swoich narodów do wojny atomowej. Europa jest w stadium wyczerpania cywilizacyjnego, zgodnie z przewidywaniami Spenglera. Przypominają się tu straszne słowa Ciorana: „Zachód próżno szuka postaci agonii wartiej jego przeszłości”.

– Często przestrzegał Pan przed uniformizacją świata. Czy dostrzega Pan w obecnych zmianach globalnych szansę dla ludów europejskich na odzyskanie ich kulturowej i cywilizacyjnej tożsamości?

– Trwa obecnie decydujące starcie, w którym stawką jest wybór: albo planeta rządzona przez jedno hegemoniczne mocarstwo (lub jedną, uniwersalistyczną ideologię), albo świat podzielony pomiędzy kilka biegunów władzy i cywilizacji, „wielkie przestrzenie” odpowiadające wielkim regionom świata, z których każdy kierowany będzie przez to państwo, które zdolne będzie do przejęcia wpływów nad obszarem cywilizacyjnym, do którego należy. Dopóki trwać będziemy w przekonaniu, że świat

zaludniony jest przez jednostki, a nie podzielony między różne ludy, języki, narody, obszary cywilizacyjne posiadające swoje własne ambicje i zasady, dopóty nie będzie to możliwe. Nowy Nomos Ziemi oznacza, że te wielkie przestrzenie cywilizacyjne za najważniejszą uznają swoją tożsamość oraz historię, wstrzymując się jednocześnie od ingerencji w inne przestrzenie cywilizacyjne i narzucania im pseudo-universalnych wartości, które w rzeczywistości są jedynie wartościami tych pierwszych. Będziemy zatem mieli albo „państwa cywilizacyjne”, albo chaos!

– Czy przyspieszenie biegu historii, którego jesteśmy teraz świadkami martwi Pana czy napawa optymizmem?

– Nie jestem ani optymistycznie nastawiony, ani zmartwiony. Staram się po prostu zrozumieć, co się wydarzy.

Z Alainem de Benoistem rozmawiał YV

Zdjęcie: [Simone Olla](#) (CC BY 3.0)

Źródło zagraniczne: [Breizh-info.com](#)

Źródło polskie: [MyslPolska.info](#)